

biegł go turkot powozu, zatrzymującego się przed ogrodem willi.

— Czyżby ktoś do mnie? — szepnął zdziwiony, wychylając się przez okno.

Rozległ się szmer kroków na ścieżce i wkrótce pomiędzy drzewami zamajaczyła zgrabna postać Berty. Szła szybko, trzymając w ręce, osłoniętej jasną rękawiczką, niewielką niebieską kopertę.

Wyglądało to na depezę telegraficzną.

Coś nowego zapewne stać się musiało. Pułkownik niecierpliwie wybiegł na spotkanie młodej kobiety i wprowadził ją do gabinetu.

Na widok twarzy Berty, promieniającej radością, westchnienie ulgi wybiegło z ust pułkownika.

— No i cóż? — zapytał krótko.

— Już załatwione! — odparła Berta, potrząsając niebieską kopertą.

— Co załatwione?

— Z Lambertin'em.

— Oznajmia ci swój przyjazd?

— Niech pan sam przeczyta.

Pułkownik wziął depezę i przeglądał ją rozgorączkowanym spojrzeniem.

Wysłana była z Lyon w nocy, podczas jakiegoś przystanku pociągu i zawierała tylko te słowa:

„Będę w Paryżu jutro rano — u pani”.

— Nareszcie! — szepnął pułkownik — Nareszcie! Wszystko już załatwione — i dobrze załatwione — a teraz pozostaje mi tylko...

Urwał, bo spostrzegł, że Berta stała przy nim, obserwując go bacznie. Powrócił więc natychmiast do równowagi.

— Czy przyjechał już? — zapytał.

— Dziś rano.

— O której godzinie?

— Wcześniej, leżałam jeszcze. Właśnie co dopiero odebrałam depezę, kiedy posłyszałam dzwonięcie.

— Więc widziałas się z nim?

— Natychmiast.

— Ale co się z nim stało? Gdzie poszedł?

Młoda kobieta uśmiechnęła się znacząco.

— Gdzie poszedł? — powtórzyła. — Ależ on jest jeszcze u mnie.

— Zatrzymałaś go?

— Obiecałam mu to.

— Dobrze... Dobrze... Wszystko jak najlepiej się składa. A więc, moja mała, sytuacja jest obecnie tego rodzaju, że testament...

Berta szybkim ruchem podała pułkownikowi zwój pergaminu.

— Biedny chłopak — zaśmiała się — nie miał ani chwili wahania. Był zupełnie oszołomiony i nieprzytomny ze szczęścia i dał mi ten dowód miłości, który, doprawdy, rozczulił mnie bardzo.

Błysk radości przeniknął po twarzy pułkownika. Wziął testament do ręki i przeglądał go niecierpliwie. Ręce jego trzymające papier, drżały lekko.

Wszystko było w porządku. Był to rzeczywiście akt, o którym mu mówiono. Cypryan Leduc nie pomylił się. Akt opiewał na korzyść dziecka naturalnego i spisany był według wszelkich reguł i zasad formalnych. Szybkim ruchem, uśmiechając się zwycięsko, pułkownik rozdarł papier i wrzucił go do kominka.

Na widok ten dreszcz bolesny przebiegł twarz młodej kobiety.

— Cóż ja mu teraz powiem? — wyrzekła, marszcząc gładkie czoło.

— Powiesz mu, co zechcesz — zaśmiał się gniewnie pułkownik.

— Cios będzie dla niego straszny — szepnęła w zamyśleniu Berta.

— Nie. Tylko trzeba go do niego przygotować. Uzna za naturalne, że chciałaś mieć odpis tego testamentu i zyskasz na tem kilka dni zwłoki. Sądzę zresztą, że potrafisz zająć go w ten sposób, że nie będzie miał czasu myśleć o czemś innym.

— Ach! — szepnęła Berta. — Przyznam się panu, że gdybym się była lepiej zastanowiła nad całą tą sprawą, to...

— No, no! — zawołał pułkownik. — Co to znowu znaczy Berto? Żale i wyrzuty po niewczasie! Nie spodziewałem się tego po tobie, moje dziecko...

— Ciekawa jestem, czy, gdyby pan był na moim miejscu — zaczęła...

— Dosyć, już dosyć, moja mała. Oto coś, co cię napewno pocieszy.

Mówiąc to, pułkownik podszedł do biurka i wyjął z szuflady garść banknotów.

— Masz — rzekł, wciskając je do ręki mło-

dej kobiecie. — Weź to! To prawie majątek i jeżeli przedsięwzięcie moje się uda, jak tego mam nadzieję, przyrzekam ci, że nie pożałujesz nigdy swojego kroku.

Berta z rozjaśnioną cokolwiek twarzą przyjęła pieniądze, ale, pomimo świetnych obietnic pułkownika i pewności, że życie jej zabezpieczone jest doskonale, uczuła, że jakiś dziwny smutek ogarnia ją. Nie rozumiała wiele z tego co jej kazano uczynić, ale jednak przejmował ją niewyraźny niepokój, że przyczyniła się mimowoli, do popełnienia jakiejś podłości.

Bez słowa skierowała się ku drzwiom.

— Odchodzisz? — zapytał pułkownik.

— On czeka na mnie.

— Masz słuszność. Czy prędko odjedzie?

— Zdaje się, że jutro. Ale nie wiem jeszcze na pewne.

— Jedzie do Marsylii?

— Nie! Wspominał coś o New-Jorku.

— Tak! Zdaje się, że jutro właśnie odchodzi okręt. Wiesz co, moja mała, chcesz, żebym ci dał dobrą radę na ostatek?

— Jaką?

— Mam wrażenie, że interesujesz się dosyć tym Lambertinem.

— To prawda — odpowiedziała młoda kobieta, wdychając ciężko.

— Na twojem miejscu, nie pozwoliłbym mu samemu odjeżdżać.

— Pan chce, żebym opuściła Paryż?

— Na jakiś czas tylko...

— Czy obawia się pan czegoś dla mnie? — zapytała niespokojnie Berta.

— Nigdy nie można być pewnym...

— Nie wspominał mi przecież pan o tem! Dlaczego więc teraz dopiero...

— Byłoby to nieostrożnością z mojej strony — odparł zimno pułkownik.

— Ah! Więc tak! Obawiam się, czy mnie pan nie wciągnął w brzydką jakąś historię — zawołała z wyrzutem Berta.

Pułkownik ujął jej ręce, przyciągnął ją do siebie i spojrzał jej głęboko w oczy.

— Posłuchaj mnie — rzekł poważnym i stanowczym głosem. — Co się stało, odrobić się już nie da, nie trzeba więc już do tego powracać. Pamiętaj tylko, że czy pojedziesz z tym człowiekiem czy nie, czy też pozostawisz go losowi jaki go czeka, nie śmiesz nigdy mieszać nazwiska mojego do tej sprawy i wogóle nie wspominać nigdy o tem co się stało. Jeżeli proszę cię o dyskrety na tym punkcie, to czynię to mniej w swoim interesie niż w twoim, bo w dniu, w którym miałybyś coś powiedzieć...

— Cóż stać się może? — zapytała Berta, patrząc niespokojnie w twarz pułkownika.

— Tego dnia, mała Berta, którą tu lubimy wszyscy, będzie musiała nieodwołalnie zniknąć na zawsze ze świata. Zrozumiałaś moja mała. Widzisz więc, że jeżeli ci chodzi o własne bezpieczeństwo — milczec musisz.

Młoda kobieta zbladła silnie, niepowstrzymane drżenie objęło jej ciało i nie spojrzawszy nawet na pułkownika, wybiegła szybko z pokoju.

Zbiegła szybko ze schodów, jak gdyby już czuła za sobą czyhające na nią niebezpieczeństwo i wpadła do powozu, który ruszył natychmiast z miejsca.

Ale zaledwie ujechała kilka kroków, wydała szalony okrzyk trwogi. Wsiadła tak szybko do karety, oszołomiona ostatnimi słowami pułkownika, że nie zauważyła iż wewnątrz znajdował się jakiś człowiek.

Oszalała z przerażenia chciała wychylić się i zawołać na stangreta, ale nieznajomy powstrzymał ją.

— Niech się pani nie obawia — wymówił spokojnym głosem. — Nie chcę nic złego pani uczynić, tylko mam pani zakomunikować rzecz pewną...

— Mnie? Mnie? — zawołała Berta, cofając się instynktownie w głąb powozu.

— Tak, pani, panno Berto.

— Ależ ja pana nieznam.

— Zawrzemy więc znajomość zaraz.

— Proszę pana!...

— Oh! Wszystko odbędzie się po formie, zaręczam pani. Mam zresztą sześćdziesiąt lat i w moim wieku, przyznać muszę...

— Któż pan jest? Jak się pan nazywa? — pytała młoda kobieta, coraz bardziej zdumiona.

— Nazywam się Cypryan Leduc, do usług pani. Jestem archiwistą i mam do pomówienia z panią o ważnych rzeczach.

Był to rzeczywiście stary archiwista, który porozumiewał się poprzednio ze stangretem, ukrył się w powozie i czekał na zjawienie się Berty.

Kiedy po chwili, wyjaśnwszy już, kim jest, spostrzegł, że przestrach młodej kobiety nie ustępuje, postarał się ją raz jeszcze uspokoić.

— Powiedziałem pani — odezwał się dobrośliwie — że nie potrzebujesz się mnie lękać. Otóż, moje dziecko, mam nadzieję, że będziesz tak względną i grzeczną i nie odmówisz mi kilku informacji, które pragnę otrzymać od ciebie, a które są mi rzeczywiście niezbędne.

— Ależ, panie.

— To nie potrwa długo i w niczem nie skompromituje panią, zaręczam. Spieszę się dlatego, że i ja również muszę złożyć wizytę pułkownikowi Robert, a chcę, żebyśmy przedtem doszli do wspólnego porozumienia. Czy chce pani tego?...

— Wszystko to jest tak dziwne. — wyszeptała Berta, nie mogąc zrozumieć jeszcze.

— Mniej dziwne, niż pani podróż do Saint-Nicolas! Proszę przyznać!

— Jakto? To pan wie o tem? — zawołała młoda kobieta, drżąc nerwowo.

— Wiem i wiem pozatem o wielu innych rzeczach. Są pomiędzy nimi takie, któreby mogły bardzo smutnie wpłynąć na przyszłość pani.

— Co pan mówi?

— Zaraz to jaśniej wytłumaczę. Dziś rano przyjechała pani u siebie, na ulicy la Bogère — pomocnika notaryalnego pana Durandea, nieprawdaż?

— Tak jest! Ale kto panu to powiedział?

— Nikt. Nazywa się Lambertin.

— Tak.

— Widzi pani, że wiem dokładnie. Pan Lambertin wyjechał wczoraj z Marsylii i wczoraj wieczorem otrzymałem depezę, w której mi donoszą, że przybędzie on do Paryża według wszelkiego prawdopodobieństwa o godzinie szóstej rano. Domyślałem się, że uda się wprost z kolei do pani i rzeczywiście, widziano go wchodzącego tam około ósmej. Czy to wszystko jest dosyć dokładne?

— Tak.

— Nie będę się pani pytał, co miało miejsce pomiędzy panią, a panem Lambertinem od chwili jego przybycia, aż do czasu, w którym zjawiała się pani u pułkownika Robert. Jest to osobistą tajemnicą twoją, moje dziecko, której naruszać nie myślę. Wiem tylko, że pan Lambertin wyjeżdżając z Marsylii był w posiadaniu testamentu wykradzonego z biura pana Durandea i chcę się dowiedzieć co się stało z tym testamentem.

Na słowa te młoda kobieta opuściła głowę nisko na piersi i przybladła lekko.

— Jeżeli czuje pani pewne wahanie do wypowiedzenia mi prawdy — ciągnął dalej Cypryan Leduc — to pomogę pani. Testament ten pan Lambertin złożył w ręce pani, a pani pospieszyła oddać go pułkownikowi. Czy nie tak?

Berta twierdząco skinęła głową.

— Nikt mi tego również nie powiedział, ale pewny jestem, że sprawa podobny miała przebieg. Cieszy mnie więc niewymownie nieme wyznanie pani. Bo pani wyznaje to — czy tak?

— Wyznaję.

— Doskonale. A teraz dalej. Co uczynił pułkownik, odebrawszy testament do ręki?

— Podarł go i rzucił do kominka. — odpowiedziała słabym głosem Berta.

— No tak, zapewne, nic lepszego uczynić nie mógł. A więc w chwili obecnej rzecz się tak przedstawia, że testament jest zniszczony bez śladu i ten, którego prawa ten akt poświadczał — znajduje się ogołocony z nich zupełnie i nieodwołalnie, to jest, ogołocony ze spadku, który mu się należał. Czy nie wiedziała pani o tem?

— Nie wiedziałam, przysięgam panu.

— Wierzę pani. Ale złe stało się i nie jest do naprawienia. Najgorsza rzecz w tem wszystkim, że właściwie pułkownik Robert odpowiadać za to nie może. Ładnie się umiał urządzać. Wszelkie zapewnienie pani byłoby bezskuteczne, bo on się wszystkiego wypierać będzie... Jest zatem winnym, ale zręcznością swoją niezwykłą uchronił się przed odpowiedzialnością, winą zaś spadnie na tych, których w grę tę wciągnął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)